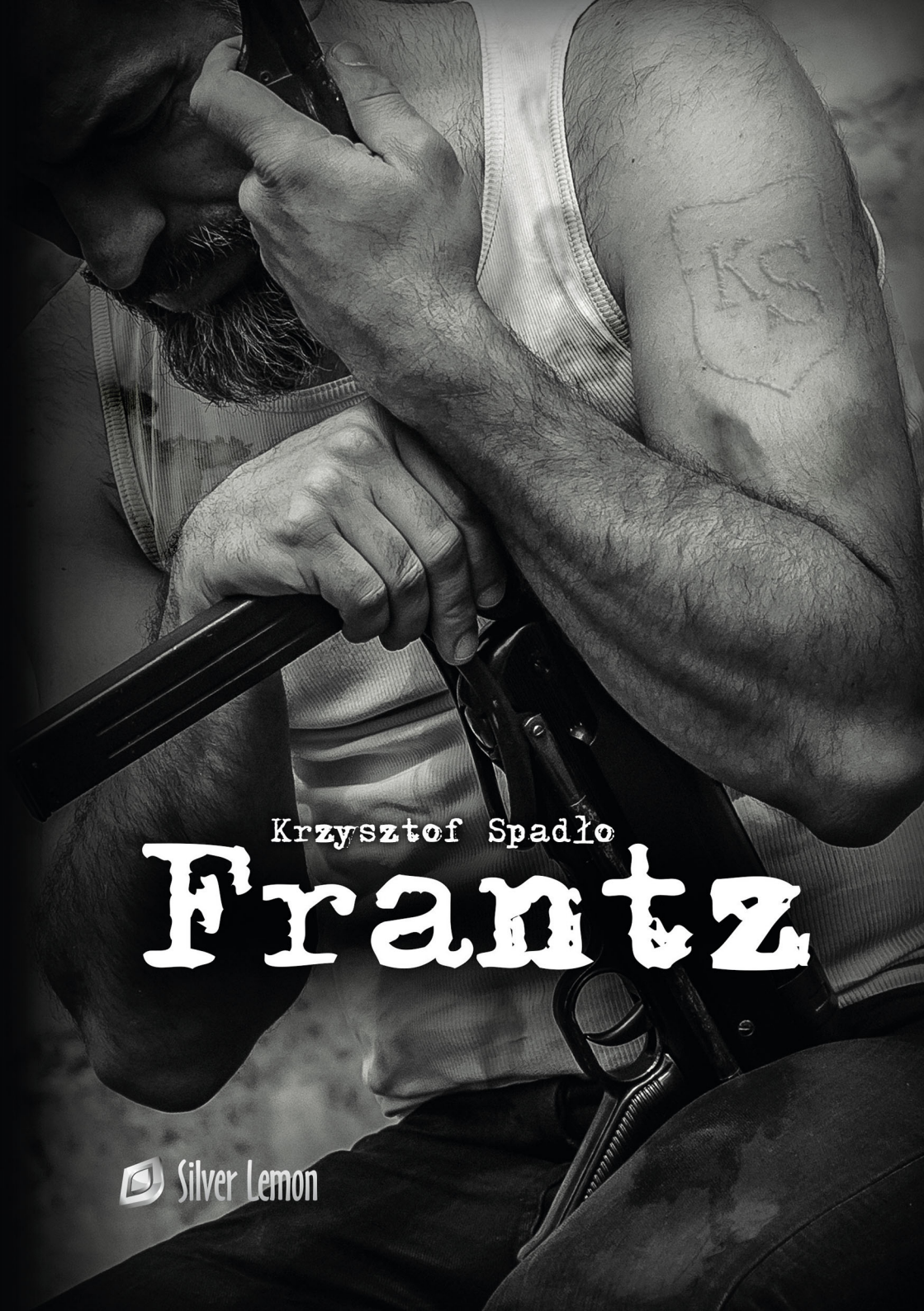




Krzysztof Spadło

Frantz

 Silver Lemon

Krzysztof Spadło

Frantz

PROJEKT OKŁADKI:

Dariusz Herbowski

ZDJĘCIE:

Dariusz Herbowski

ILUSTRACJE:

Marysia Gryczewska

Jacek Gryczewski

KOREKTA I REDAKCJA:

Małgorzata Wawrzyniak

ISBN:

978-83-953568-7-2

WYDAWCA:

KAGO

KONTAKT:

kago@skazaniec.com

Copyright © 2020 Krzysztof Spadło & KAGO

www.skazaniec.com

krzysztof.spadlo@skazaniec.com

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub
całości bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I 2020

[Kup książkę](#)

*Dla Marcina Sroki,
który od lat, swoim talentem i wiedzą,
wspiera moje działania związane
z montażem materiałów filmowych.*

*„Jeżeli grzebiez w cudzej przeszłości,
możesz obudzić demony, które cię zniszczą.”*

Krzysztof Spadło

Charles Runet był rodowitym paryżaninem, mieszkającym od urodzenia w zabytkowej, okazałej kamienicy przy Rue d'Hauteville pod numerem 72. Lokum, które odziedziczył po swoich świętej pamięci rodzicach, znajdowało się na pierwszym piętrze i jako jedyne w budynku, posiadało duży balkon, ulokowany pośrodku fantazyjnie zdobionej fasady. Charles oraz jego urocza małżonka Emma, bardzo często przesiadywali tam w pogodne dni, rozkoszując się słodkim lenistwem w ciepłych promieniach zachodzącego słońca. Warto nadmienić, że ów balkon, był powodem zażdrości niektórych sąsiadów, a szczególnie wiekowej pani Bonvill, która również mieszkała na pierwszym piętrze. Dystygowana staruszka cieszyła się dobrym zdrowiem, ale jej pamięć od kilku lat poważnie szwankowała. Kiedy czasami przypadkiem spotykała na klatce schodowej państwa Runet, za każdym razem miała w zwyczaju mówić:

– Wy to macie dobrze! Wam to się udało! Nawet nie macie pojęcia, jak bardzo byłabym zadowolona, gdybym mogła z Morisem spędzać letnie popołudnia na balkonie.

Moris był perskim kotem o czarnej, puszystej sierści,

a Charles domniemywał, że ten parszywy zwierzak, pała do jego osoby szczerą nienawiścią. Każdego ranka, kiedy na kwadrans przed wyjściem do pracy wypalał na balkonie papierosa, widział Morisa siedzącego na parapecie sąsiedniego okna. Stworzenie wpatrywało się w niego swoimi błyszczącymi ślepiami, a w jego kocich źrenicach, czała się krystaliczna pogarda i niechęć.

Dzisiejszego poranka sytuacja wyglądała identycznie, ale Charles miał głowę zajętą innymi myślami i tylko na ułamek sekundy strzelił wzrokiem w kierunku kota. Jednak ten krótki moment sprawił, że mężczyzna syknął w myślach: – *Czego się gapisz wyleniały sierściuchu?! Chwilę później Charles Runet, redaktor naczelny gazety „Le Figaro”, obrócił twarz w drugą stronę, wciągnął głęboko dym w płuca i spojrzał w błękitne, wrześniowe niebo, malujące się ponad dachami Paryża. Wiedział, że dzisiejszego dnia czeka go trudna i ciężka rozmowa. Punktualnie o 12:30 miał się spotkać w swoim gabinecie z wicedyrektorem najpotężniejszej, francuskiej instytucji bankowej. Był świadom, że skandal finansowy, który obnażyło dwóch reporterów „Le Figaro” może pogrzebać kariery wielu wpływowych i potężnych ludzi. Jednocześnie obawiał się, że ktoś ważny, roztoczy nad sprawą parasol bezpieczeństwa, a prawda nigdy nie ujrzy światła dziennego. Mogło również dojść do sytuacji, że jeśli artykuł pojawi się na łamach dziennika, wówczas któryś z jego bohaterów, wytoczy gazecie kosztowny, sądowy proces.*

– Nad czym tak rozmyślasz? – nagle usłyszał za swoim plecami głos Emmy.

Obrócił się w prawo i ujrzał swoją małżonkę ubraną w biały szlafrok. Stała oparta o futrynę drzwi balkonowych, a w dłoniach trzymała czerwony kubek. Ponad ceramicznym obrzeżem dostrzegł unoszące się jęczyczki pary, a sekundę później, poczuł aromat świeżo zaparzonej kawy.

– Myślę o tym kochanie – odparł, patrząc jej w oczy – że za kilka lat o tej porze, będziemy spoglądać z okien naszego domu na piaszczystą plażę Farinette – po czym pochylił się i cmoknął ją w policzek.

– Uwielbiam kiedy kłamiesz, chcąc mi zrobić przyjemność – skwitowała lekko rozbawionym głosem.

– Przecież ja nie kłamię...

– Oczywiście – wpadła mu w zdania – ty po prostu w innym świetle przedstawiasz fakty.

Mężczyzna w odpowiedzi jedynie westchnął w przesadny, teatralny sposób i posłał kobiecie swojego życia promienny uśmiech.

Punktualnie o siódmej dziesiątej Charles wyszedł z mieszkania. Jego każdy, powszedni dzień, bez względu na pogodę i porę roku, wyglądał tak samo. Pracę zaczynał o ósmej trzydzięci. Trasę do siedziby redakcji pokonywał pieszo w niespełna czterdzieści minut, ale miał pewien zwyczaj, który stał się jego rytuałem. W połowie drogi przy skrzyżowaniu ulic, znajdowała się nieduża kawiarnia Triadou Haussmann oraz kiosk z prasą. Charles kupował kilka gazet wydawanych przez konkurencję, siadał przy stoliku, zamawiał kawę i przez kwadrans lustrował nagłówki. Rzadko kiedy czytał całą treść artykułów. Człowiek z jego dzienni-

karskim doświadczeniem nie musiał zgłębiać wiadomości, wystarczyły mu jedynie krzykliwe tytuły. Kiedy kilka lat temu został redaktorem naczelnym, zmienił nieco swoje podejście do zawodu i rozumiał, że dla każdego czytelnika, ważna jest również szata graficzna. Wiedział, że jeśli dziennik „Le Figaro” chce wieść prym na rynku prasy, musi podążać z duchem czasu. Gazeta, w której piastował najważniejsze stanowisko, zapracowała na swoją renomę przez dziesiątki długich lat, a taka przeszłość zobowiązywała.

Dzisiejszego ranka Charles również przeglądał prasowe doniesienia, ale sprawa spotkania z wicedyrektorem banku, skutecznie torpedowała jego koncentrację.

W pewnym momencie odłożył gazety i sięgnął po papierosa. Ni stąd ni zowąd, zaczął się zastanawiać nad tym, co powiedział Emmie. Był święcie przekonany, że jego żona najchętniej wyjechałaby z Paryża jeszcze dziś. Zawsze marzyła o tym, żeby zamieszkać w jakimś urokliwym zakątku na południu Francji i co najważniejsze, przekonała go do swojej idei. Dwa lata temu kupili parcelę budowlaną na peryferiach miejscowości Vias. Zapłacili gotówką, co w efekcie pozbawiło ich wszystkich, zgromadzonych przez lata oszczędności. Od tamtej pory ceny gruntów nieznacznie wzrosły i gdyby jakaś życiowa sytuacja zmusiła ich do sprzedaży działki, to na takowej transakcji mogliby jeszcze sporo zarobić. Nagle Charles uśmiechnął się pod nosem, bowiem oczami wyobraźni ujrzał swoje życie na dalekiej, południowej prowincji. Rozmyślał o tym, co będzie robił

w bliżej nieokreślonej przyszłości, ale nie wcześniej niż za osiem lat, czyli z chwilą kiedy w świetle francuskiego prawa zostanie emerytem. W swoim sercu nosił jedno, skryte marzenie, którego jeszcze nikomu nie zdradził. Nawet Emma nie miała o nim pojęcia. Dawno, bardzo dawno temu postanowił, że jak już zakończy swoją zawodową karierę, zostanie literatem. Oczywiście wiele razy zastanawiał się, jakie chciałby pisać książki i doszedł do wniosku, że będzie tworzył historie inspirowane prawdziwymi wydarzeniami. Nie musiałyby poszukiwać tematów i zachodzić w głowę nad wymyślaniem fabuły. Nim został naczelnym przez blisko ćwierć wieku był dziennikarzem, który tropił i obnażał afery wszelkiej maści. Był reporterem, który nie bał się trudnych tematów i zawsze dociekał prawdy. Jednak przez te wszystkie lata Charles nabrał pewnych pisarskich nawyków i manier, które mogły jego odległe, literackie marzenie, obrócić w perzynę. W przeszłości każdego dnia słyszał, że prawdziwy reporter nie ulega emocjom, nie pisze o uczuciach, jest oszczędny w słowach i skupia się tylko na faktach. Te dewizy ukształtowały jego dziennikarskie pióro i jako redaktor naczelny, wymagał od swoich podopiecznych aby zawsze zachowywali bezstronny ton wypowiedzi. Każdy reporter „Le Figaro” miał okazję dziesiątki razy usłyszeć z jego ust słowa, które brzmiały:

– Sugestie i domniemanie, pozostaw czytelnikom!

Charles spojrział na wskazówki zegarka. Minęła ósma zero pięć. Dopił kawę, podniósł się z miejsca, a zakupioną prasę zostawił na blacie stolika. Chwilę później prężnym krokiem zmierzał przed siebie, kierując się w stronę jedne-

go z najsłynniejszych paryskich rond, przy którym mieściła się siedziba gazety.

W tym samym czasie na odległym dworcu metra w Pont de Neuilly, pewien mężczyzna w średnim wieku, stał przed oszkloną gablotą i mrużąc powieki, spoglądał na rozkład jazdy. Chciał się upewnić ile przystanków musi przejechać podziemną koleją nim dotrze do stacji przy Champs-Élysées.

Kilka minut później ów mężczyzna zajął miejsce w ostatnim wagonie. Miał z sobą starą, skórzaną teczkę, którą mocno przyciskał do piersi, jakby w jej wnętrzu znajdowało się coś bardzo cennego. W jego głowie kłębiły się tysiące myśli, a w duchu modlił się o to, żeby po dotarciu na miejsce, został przez kogoś wysłuchany.

Za masywnymi drzwiami wiodącymi do redakcji dziennika „Le Figaro” znajdował się potężny hol. Pośrodku stało olbrzymie biurko, za którym siedział portier w liberii. Po prawej stronie, na wysokości piersi, miał niedużą, mosiężną tabliczkę z wygrawerowanym imieniem – Gerard. Za jego plecami, znajdowały się schody, wiodące na kolejne kondygnacje budynku oraz drzwi od windy.

– Dzień dobry, czym mogę panu służyć? – zapytał recepcjonista patrząc na człowieka z teczką.

– Dzień dobry. Chciałbym się widzieć z... – mężczyzna nagle zamilkł, jakby szukał odpowiednich słów i po chwili dodał – z pańskim szefem.

– Z moim szefem? – jego rozmówca powtórzył z nutką niedowierzania, po czym dodał: – To znaczy z kim konkretnie?

– Z dyrektorem gazety – odparł mężczyzna.

– A był pan umówiony na spotkanie? – zapytał i w tym samym momencie na jego ustach pojawił się uśmiech politowania.

– Nie, nie byłem umówiony, ale mam bardzo ważną sprawę, o której muszę z nim porozmawiać.

– Proszę pana – odezwał się człowiek odziany w libe-
rię – tutaj obowiązują pewne zwyczaje. Każdy interesant,
musi uprzednio umówić się na spotkanie i jeśli pan sobie
życzy – powiedział i w tym samym momencie, otworzył
dużą księgę, która spoczywała tuż przed nim na blacie mo-
numentalnego biurka – mogę panu zaproponować najbliż-
szy wolny termin...

– Muszę się z nim zobaczyć dzisiaj! – mężczyzna z teczką rzekł stanowczym głosem.

– Szanowny panie – odparł uprzejmie portier, ale jed-
nocześnie spojrzał surowym wzrokiem na twarz swego
rozmówcy – spotkanie może dojść do skutku tylko wtedy,
kiedy będzie pan umówiony – wyjaśnił, podkreślając z na-
ciskiem każde wypowiedane słowo. – Najbliższy wolny
termin – zerknął na strony rozpostartej księgi – jaki mogę
panu zaproponować, przypada we wtorek szesnastego paź-
dziernika.

– Posłuchaj, Gerard – mężczyzna rzekł oschłym tonem.
– Mogę się tak do ciebie zwracać? Mogę ci mówić Gerard?
– zapytał, patrząc wymownie na mosiężną tabliczkę z wy-
grawerowanym imieniem.

– Oczywiście proszę pana – odpowiedział recepcjonista
i w tym samym momencie, powoli podniósł się z miejsca.

Jednak jego zachowanie nie zrobiło żadnego wrażenia na mężczyźnie z teczką.

– Gerard, ja doskonale zdaję sobie sprawę, że ty wykonujesz tutaj swoją robotę. Jednak czasami bywają takie sytuacje, że należy postąpić wbrew obowiązującym regułom, zasadom, przepisom... zresztą nie ważne jak zwał. Powiem ci tylko tyle, że jeśli w ciągu piętnastu minut nie spotkam się z twoim szefem, wtedy wyjdę przez te drzwi – powiedział mężczyzna i kiwnął głową w stronę masywnych wrót. – I wiesz co później zrobię?

– Nie mam pojęcia, proszę pana – odparł portier, ale ton jego głosu brzmiał tak, jakby w rzeczywistości chciał mu powiedzieć: – *Mam w dupie to, co zrobisz!*

– No to ci powiem Gerard, jak będzie – mężczyzna rzekł opanowanym tonem, ale wyraźnie czuł, że jego serce jak szalone dudni w piersiach. – Pójdę z tym tematem do konkurencyjnej gazety, a potem, jak mi Bóg miły, dopilnuję, żeby twój szef dowiedział się, iż to ty odprawiłeś mnie z kwitkiem. Nie życzę ci źle, ale możesz być pewien, że wtedy wyleją cię z roboty na zbity pysk. Rozumiesz? Nie będę się umawiał z trzytygodniowym wyprzedzeniem na spotkanie, które nie może czekać. Nie mam zamiaru się tutaj awanturować. Tobie pozostawiam decyzję. Albo mnie zaanonsujesz, albo za kilka dni będziesz miał poważne kłopoty.

Na dźwięk tych słów jego rozmówca natychmiast stracił pewność siebie.

– Jak brzmi pańska godność? – zapytał.

– Morlin. Robert Morlin – odpowiedział mężczyzna.

– Proszę sobie tam spocząć – portier wskazał dłonią w kierunku dwóch ławek, usadowionych w rogu holu.

Kiedy mężczyzna z teczką oddalił się, Gerard sięgnął dłonią po słuchawkę telefonu i wykręcił na tarczy wewnętrzny numer naczelnego.

– Dzień dobry panie Runet. Z tej strony Gerard – rzekł półgłosem. – W holu jest pewien mężczyzna, który nalega na spotkanie z panem.

– Był umówiony?

– Nie. Dziś ma pan tylko jednego interesanta na dwunastą trzydzieści – odparł zerkając w księgę. – Wszystkie pozostałe spotkania, zostały przełożone.

– Kim jest ten człowiek i czego chce?

– Nazywa się Robert Morlin, ale nie powiedział co go tutaj sprowadza. Poinformował mnie, że jeśli nie zostanie przyjęty, uda się ze sprawą do konkurencji.

Kiedy Charles usłyszał wyjaśnienie, niemal natychmiast poczuł znajome, dziennikarskie zaintrygowanie. Lata pracy nauczyły go, że nie wolno ignorować informatorów, którzy używają określenia – konkurencja.

– Niech posiedzi tam jeszcze pięć minut, a potem wpuść go do windy i wyjaśnij gdzie mnie znajdzie.

– Oczywiście panie Runet – odparł portier i odłożył słuchawkę.

Dokładnie pięć minut później, automatyczne drzwi windy rozsunęły się na boki i Robert Morlin po raz pierwszy w życiu miał okazję zobaczyć, jak wygląda piąte piętro

redakcji „Le Figaro”. To było obszerne pomieszczenie i królowała w nim niesamowita wrzawa. Stukot maszyn do pisania mieszał się z dziesiątkami ludzkich głosów i krzykiem dzwoniących telefonów. Panował tutaj ruch, zgiełk i hałas, który mógł śmiało konkurować z atmosferą huty lub fabrycznej hali montażowej.

Morlin skręcił w prawo i ruszył w stronę dużych, oszklonych drzwi, za którymi ciągnął się długi korytarz. Kiedy minął próg i zamknął za sobą przeźroczyste wrota, miał wrażenie, jakby znalazł się w krainie ciszy.

Gabinet, do którego zmierzał, znajdował się na końcu korytarza.

Na drzwiach nie było żadnego numeru, tylko wisiała duża tabliczka znamionowa:

REDAKTOR NACZELNY

Charles Runet

Robert zapukał i niemal natychmiast usłyszał:

– Wejść!

Nacisnął klamkę i wkroczył do środka.

– Dzień dobry panie redaktorze.

– Dzień dobry – odparł Charles podnosząc się z miejsca i wyciągnął w jego kierunku dłoń na powitanie.

Mężczyźni wymienili uścisk.

– Nazywam się Charles Runet i jestem redaktorem naczelnym dziennika „Le Figaro”. Z kim mam przyjemność?

– Robert Morlin.

– Proszę, niech pan spocznie – gospodarz wskazał dło-

nią na nieduży, owalny stół konferencyjny, wokół którego stało osiem krzeseł i niemal natychmiast rzekł: – Nie mam dziś zbyt wiele czasu, mogę panu poświęcić dziesięć minut i dlatego proszę od razu przejść do rzeczy. Czemu zawdzięczam pańską wizytę?

– Panie Runet, przyszedłem prosić o pomoc...

– O pomoc?! – Charles powtórzył zaskoczonym głosem, wpadając mu w zdanie. – Drogi panie, „Le Figaro” jest gazetą, a nie instytucją udzielającą pomocy. Sądziłem, że ma pan dla nas jakiś, mówiąc ludzkim językiem, dziennikarski temat.

– Bo to jest temat, panie redaktorze. Proszę mnie tylko wysłuchać.

– No dobrze, w takim razie niech pan mówi – odparł bez przekonania.

Mężczyzna splótł palce dłoni jak do modlitwy i rzekł:

– Adwokat, który jeszcze jakiś czas temu zajmował się moim problemem, użył bardzo trafnego sformułowania. Stwierdził, że padłem ofiarą moralnie nieetycznej sytuacji, której wina w stu procentach spoczywa po stronie francuskiego rządu – na dźwięk tych słów Charles spojrzał na swojego rozmówcę zaskoczonym wzrokiem. – Panie redaktorze, otóż jestem byłym żołnierzem Legii Cudzoziemskiej. Służyłem przez szesnaście lat i siedem miesięcy, walczyłem jako legionista już podczas II wojny światowej, broniłem interesów Francji w Afryce i Indochinach. Trzykrotnie zostałem odznaczony, dwukrotnie byłem ranny, a swoją karierę zakończyłem w roku 1957 ze stopniem starszego sierżanta. Każdemu, kto odsłużył w szeregach Legii minimum piętnaście lat, przysługuje emerytura i należy

się o nią ubiegać, dopiero po ukończeniu pięćdziesiątego roku życia. Kiedy odchodziłem do cywila, poinformowano mnie, że to będzie czysta formalność. Urodziłem się ósmego stycznia 1923 roku, pięćdziesiąt lat skończyłem ponad osiem miesięcy temu. W pierwszej połowie lutego udałem się do siedziby Legii Cudzoziemskiej w Fort de Nogent, żeby załatwić procedurę emerytalną. Złożyłem wszystkie wymagane dokumenty. Dwa miesiące później otrzymałem pocztą zaskakującą odpowiedź – Morlin sięgnął do wnętrza skórzanej torby i wyjął tekturową teczkę. – Proszę, niech pan sam spojrzy – podał Charlesowi list.

Z jego treści wynikało, że wszystko o czym wcześniej mówił, jest prawdą. Widniał tam przebieg jego służby, otrzymane odznaczenia oraz awanse, jednak ostatni akapit tego pisma był rzeczywiście absurdalny. Uzasadnieniem, że nie otrzyma należnych świadczeń, było stwierdzenie, iż ubiega się o emeryturę po przekroczonym terminie.

Charles spojrział mężczyźnie w oczy i zapytał:

– O jakim terminie mowa?!

– Nie mam tego na piśmie, ale kiedy ponownie zawitałem w Fort de Nogent, usłyszałem, że od chwili pięćdziesiątych urodzin, miałem dwa tygodnie czasu na załatwienie formalności.

– Przecież to jakaś bzdura! – Charles nie krył swojego oburzenia, chciał jeszcze o coś zapytać, kiedy nagle zadzwonił telefon stojący na jego biurku. – Przepraszam, ale muszę odebrać – powiedział i rozłożył bezradnie ręce.

Przez kilka chwil naczelny tylko trzymał słuchawkę przy uchu, aż w końcu rzekł:

– Może zrobmy inaczej, mam w tej chwili gościa i odzwońię do pana za piętnaście minut, dobrze?

Odłożył słuchawkę na widełki, spojrzał na swojego rozmówcę, podniósł się zza biurka i powiedział:

– Pomożemy panu i zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby sprawę wyjaśnić. Niech pan zabierze swoje dokumenty i pozwoli ze mną.

Charles wiedział, że ten temat może zlecić tylko jednemu człowiekowi, którym był Vincent Enfo. Vincent miał doświadczenie, charyzmę, szerokie kontakty i niebanalne znajomości. Był bardzo cennym pracownikiem, rzetelnym reporterem i potrafił pisać w porywający sposób. Spośród wszystkich dziennikarzy zatrudnionych na pełnym etacie, artykuły jego autorstwa, były najczęściej publikowane.

Enfo liczył sobie czterdzieści lat, a od niespełna siedmiu, pracował dla „Le Figaro”. Wcześniej działał na własną rękę, jako wolny strzelec, który sprzedawał swoje reportaże różnym wydawcom. Wyrobił sobie renomę, chociaż na rynku paryskiej prasy od zawsze panowała szalona konkurencja. Vincent miał świadomość, że jest dobrym pismakiem. Kochał swoje zajęcie bezwarunkową miłością i czuł w sercu dziennikarskie powołanie. Owa pasja miała jednak swą mroczną stronę i dawno temu stała się powodem rozpadu jego małżeństwa. Ktoś mógłby stwierdzić, że zapłacił wysoką cenę za karierę, ale życie czasami bywa cholernie brutalne i człowiek musi pokutować za swoje wybory.

Morlin i Runet wyszli z gabinetu. Byli w połowie korytarza, kiedy Charles złapał za klamkę przy trzecich drzwiach po prawej i otworzył je na oścież. W pomieszczeniu znaj-

dował się tylko stół i cztery krzesła, a ów pokój, służył wszystkim reporterom gazety do rozmów w cztery oczy z interesantami lub informatorami.

– Proszę tutaj poczekać – wskazał dłonią – za chwilę wrócę do pana razem z doświadczonym dziennikarzem, który zajmie się tym tematem.

Robert Morlin usiadł na krześle i poczuł, jak ogarnia go błoga ulga, gdyż jego modlitwy zostały wysłuchane. Wiedział, że mając wsparcie gazety będzie mógł podjąć walkę o swoje racje i odzyskać prawa do należnej emerytury. Żałował tylko, że tak późno wpadł na ten pomysł.

Zanim były legionista poznał reportera Vincenta Enfo, ten drugi najpierw usłyszał od swojego szefa następujące słowa:

– Vincent, odkładasz na bok wszystkie sprawy, którymi obecnie się zajmujesz, bowiem mam dla ciebie priorytetowe zadanie. W pokoju zwierzeń jest teraz pewien mężczyzna, który zgłosił się do mnie z bardzo interesującą historią. Ponoć odsłużył w Legii Cudzoziemskiej ponad szesnaście lat, a kiedy upomniął się o emeryturę, otrzymał negatywną odpowiedź z jakimś niedorzecznym uzasadnieniem. Wyciągniesz od tego faceta wszystkie informacje, zrobisz kopie jego dokumentów i sprawdzisz czy rzeczywiście mówi prawdę. Jeśli będzie wiarygodny, pojedziesz do siedziby Legii w Fort de Nogent i zostaniesz ich zmorą tak długo, aż dowiesz się, o co w tym wszystkim chodzi, bowiem naszym moralnym obowiązkiem – dodał z naciskiem – będzie udzielenie pomocy temu człowiekowi. Każdego dnia, punktualnie o dziewiątej zero zero meldujesz się w moim

gabinecie i zdajesz mi relację ze swoich postępów. Rozumiesz? – Charles bardziej twierdził niż pytał.

– Szefie, oczywiście że rozumiem! – reporter odpowiedział z entuzjazmem, bowiem zdawał sobie sprawę, że jeśli naczelny osobiście przydziela komuś temat, wówczas taki artykuł ma szansę ukazać się na pierwszej stronie.

Kilka minut później Charles przedstawił sobie obu panów, po czym udał się do własnego gabinetu, aby rzetelnie przygotować się do dzisiejszego, bardzo ważnego spotkania. Redaktor naczelny dziennika „Le Figaro” nawet nie przypuszczał, że za kilka dni problem byłego legionisty, rozpęta aferę niewyobrażalnych rozmiarów. Aferę, która obnaży tajny dekret francuskiego rządu sprzed ponad trzydziestu lat oraz odgrzebie głośną sprawę, niewyjaśnionego do dziś podwójnego morderstwa, do którego doszło w jednym z szykownych apartamentów, ekskluzywnego hotelu San Regis.

Następnego dnia, punktualnie o dziewiątej zero zero Vincent zjawił się w gabinecie Charlesa.

– Dzień dobry szefie – powiedział, zamykając za sobą drzwi.

– Czy dobry, to się dopiero okaże – odparł naczelny – a teraz siadaj i mów.

– Nie ma za bardzo o czym mówić, bowiem pokrzywdzony legionista przyjechał wczoraj nieprzygotowany. Miał z sobą tylko list z odmowną odpowiedzią i własną opowieść. Wyjaśniłem mu, że po pierwsze, muszę zrobić

kopię dokumentów potwierdzających jego tożsamość oraz wszystkich papierów związanych z jego służbą w Legii Cudzoziemskiej. Po drugie, muszę zapoznać się z pełną korespondencją, jaką prowadził w jego imieniu adwokat, który wcześniej zajmował się tą sprawą. Facet stwierdził, że wszystkie dokumenty ma w domu i obiecał, że zjawi się dziś przed południem. Wykonałem wczoraj kilka telefonów i dowiedziałem się, że faktycznie każdemu żołnierzowi, który służył w Legii Cudzoziemskiej minimum piętnaście lat, przysługuje z tego tytułu emerytura. Jedynym warunkiem, jest ukończenie pięćdziesiątego roku życia i na tym koniec – powiedział reporter i wzruszył ramionami.

– A tak w ogóle, to co sądzisz o tej sprawie? – zapytał naczelny.

– Szefie, szczerze mówiąc, na chwilę obecną nie mam zdania – odparł Vincent. – Jeśli ten człowiek dziś przyjedzie i przywiezie z sobą dokumenty, wtedy będziemy mogli porozmawiać o mojej opinii.

Były legionista, dzierzący w dłoni starą, skórzaną teczkę, zjawił się w redakcji „Le Figaro” kwadrans po jedenastej. Podszedł do dużego biurka, za którym siedział znajomy portier i rzekł:

– Witaj Gerard. Bądź tak miły i powiadom pana Enfo, że Robert Morlin czeka na niego w holu – po czym obrócił się na pięcie i ruszył w kierunku dwóch ławek.

Wedle polecenia, Vincent zjawił się w gabinecie naczelnego z notatnikiem w czarnej oprawie i plikiem dokumentów.

– Widzę, że twój interesant dotrzymał słowa – stwierdził Charles.

– Zgadza się szefie – odparł reporter – mam wszystko czego potrzebowałem. Spędziłem z nim wczoraj w pokoju zwierzeń ponad trzy godziny. Przemaglowałem faceta i myślę, że będzie z tego niezła historia.

– W takim razie zamieniam się w słuch – rzekł naczelny i wygodnie rozsiadł się w swoim fotelu.

– Po pierwsze Robert Morlin, jest Polakiem, który otrzymał francuskie obywatelstwo pod koniec 1957 roku. Naprawdę nazywa się Robert Morliński – Vincent z trudem wypowiedział jego słowiańskie nazwisko, patrząc na własne zapiski w notesie. – Przyjechał do Francji wraz ze swoim ojcem pod koniec wiosny 1939 roku. Obaj byli zatrudnieni w charakterze robotników sezonowych w winnicy Gargas, niespełna sto kilometrów na północ od Marsylii. Winnica należała wtedy do rodziny Duonis i myślę, że jest w jej posiadaniu do dnia dzisiejszego, ale muszę to sprawdzić. Kiedy we wrześniu 1939 roku wybuchła II wojna światowa, ojciec Roberta natychmiast wyjechał do Polski. Ponoć senior rodu Duonis odradzał mu podróż, ale mężczyzna liczył na to, że uda mu się z kraju ogarniętego wojną, zabrać swoją żonę oraz dwójkę pozostałych tam dzieci i wrócić bezpiecznie do Gargas. Robert miał wtedy szesnaście lat i został we Francji. Niespełna rok później otrzymał od swojego stryja z Polski list, informujący, że miejscowość z której pochodził, została zbombardowana, a jego rodzina zginęła podczas nalotu. Duonis zaproponował młodemu Morlinowi, żeby został w winnicy do czasu

zakończenia wojny, ale kiedy chłopak osiągnął pełnoletność, pojechał do Marsylii i zaciągnął się do Legii Cudzoziemskiej. Twierdzi, że kierowała nim chęć zemsty. Chciał walczyć przeciwko Niemcom. W połowie jesieni 1941 roku znalazł się w algierskim Sidi Bel Abbes i został legionistą. Do roku 1946 stacjonował w Afryce, a kolejne dziesięć lat spędził w Indochinach. Szlak bojowy, który przeszedł jest naprawdę imponujący. Brał udział między innymi w walkach pod El Alamein oraz na przełęczach Kasserine. Swoją karierę legionisty w stopniu starszego sierżanta, zakończył we wrześniu 1957 roku. Legia Cudzoziemska z reguły nie pomaga swoim żołdakom w uzyskaniu francuskiego paszportu, ale wobec niektórych stosuje ów przywilej. Robert Morliński napisał w tej sprawie do dowódcy regimentu w którym służył. Nie chciał wracać do Polski. Był wzorowym żołnierzem i jego prośba została pozytywnie rozpatrzona. W grudniu 1957 roku otrzymał francuskie obywatelstwo i przyjął nazwisko Morlin. Zamieszkał w Paryżu przy Rue Collin 17 w czynszowej kamienicy i podjął pracę w niedużym zakładzie produkującym obuwie. Nigdy nie miał problemów z prawem. W styczniu tego roku skończył pięćdziesiąt lat i postanowił ubiegać się o należną z Legii emeryturę. W pierwszej połowie lutego pojechał do Fort de Nogent, aby załatwić formalności i obaj wiemy, jaką dwa miesiące później otrzymał odpowiedź. Osaczony bezradnością, udał się do kancelarii adwokackiej po pomoc. Meceenas, któremu zlecił sprawę właściwie nic nie zrobił, napisał tylko dwa pisma, za co zażądał słonego honorarium i na tym się skończyło. Mam zamiar spotkać się z tym adwo-

kacina w przyszłym tygodniu i chyba mu zasugeruję, żeby zwrócił swojemu klientowi część pieniędzy. To są kopie kontraktów Morlińskiego – Vincent podał swojemu szefowi trzy, odrębnie spięte pliki kartek.

Charles zerknął, ale tylko pobieżnie i nie zagłębiał się w ich treść.

– Tutaj są pisma od adwokata i otrzymane odpowiedzi – reporter podał naczelnemu kolejne kartki – a to lista nazwisk dowódców, którym bezpośrednio podlegał legionista Robert Morliński począwszy od początku służby, aż do jej definitywnego zakończenia. – Charles zerknął na wykaz. Czyjeś dane personalne przykuły jego wzrok, ale Vincent nie zwrócił uwagi na ten szczegół, tylko ciągnął dalej: – Jak tylko skończymy rozmawiać, napiję się kawy i pojadę do Fort de Nogent. Mam nadzieję, że uda mi się porozmawiać...

– Możesz mi skopiować tę listę? – Charles wpadł mu w zdanie, a jego słowa brzmiały bardziej jak służbowe polecenie niż prośba.

– Widzi tam szef czyjeś znajome nazwisko? – zapytał Vincent nieco zaintrygowanym głosem.

– Jeszcze tego nie wiem – odparł naczelnny – ale jeśli okaże się znajome, to nie omieszkam cię o tym jutro powiadomić.

– Tylko, że jutro nie ma mnie w pracy.

– A to dlaczego? – Charles podniósł wzrok i spojrzał zdziwiony na Vincenta.

– Bo moja była żona jest wredną suką i postarała się o to, abym w myśl wyroku sądowego, mógł widywać się z córką tylko w każdą ostatnią sobotę miesiąca – wyjaśnił dzienni-

karz i dodał: – Jeśli zawalę, spotkanie przepada i wtedy na kolejne widzenie, muszę czekać trzydzieści dni. Przykro mi szefie, ale nie mogę sobie na to pozwolić. W ostatnią sobotę każdego miesiąca zawsze mam urlop i zapominam o pracy.

– No dobrze, już dobrze. Starczy tych wyjaśnień – powiedział Charles, bowiem nie miał ochoty wysłuchiwać jakiejś żalosnej, życiowej historyjki – w takim razie zrób mi tylko kopię i bierz się do działania. – Po czym podał mu kartkę na której widniała lista kilkunastu nazwisk, a każde z nich poprzedzał wojskowy stopień.

Kwadrans później naczelny nadal siedział za biurkiem i wpatrywał się w pierwsze nazwisko na liście Morlina. Kapral Rudolf Frantz. Dane osobowe brzmiały znajomo, ale za skarby świata nie potrafił sobie przypomnieć, skąd je zna? Był jednak pewien, że z nazwiskiem Frantz wiąże się jakaś głośna sprawa z zamierzechłej przeszłości...

Kolejne godziny pracy upływały Charlesowi na zajmowaniu się tematami, związanymi z jutrzejszym wydaniem „Le Figaro”. Musiał przejrzeć kilka artykułów, zatwierdzić wszystkie teksty i uporać się z ich ewentualną redakcją najpóźniej do godziny szesnastej. Robił swoje, ale gdzieś z tyłu głowy bezustannie kasała go niepokojąca myśl, która przeszkadzała mu w pracy.

Przeczytałeś fragment powieści Krzysztofa Spadło pt. "Frantz".

Wejdź na www.skazaniec.com, aby pobrać pełną wersję.